

Między rewolucją a restauracją

Z prof. Leonardem Neugerem rozmawia Magdalena Machała

Between Revolution and Restoration. Professor Leonard Neuger Speaks with
Magdalena Machała

Magdalena Machała: Chciałabym, żeby punktem wyjścia do naszej rozmowy stał się tekst Thomasa Pavla – *Porządek języka*, który stanowi pierwszy rozdział jego polemicznej książki *Le Mirage linguistique*¹. Pavel proponuje w niej spojrzenie na strukturalizm i poststrukturalizm jako na jeden nurt intelektualny XX wieku. W jego obrębie autor wyróżnia trzy główne odmiany: „strukturalizm umiarkowany”, „strukturalizm scjentystyczny” oraz „strukturalizm spekulatywny”, utożsamiając ten ostatni z tym, co w teorii literatury zwykło się określać mianem poststrukturalizmu. Czy w takim ujęciu, podkreślającym ciągłość między strukturalizmem i poststrukturalizmem przy jednoczesnym zacieraniu granic między tymi dwoma nurtami, tkwi według Pana potencjał poznawczy?

Leonard Neuger: Należy pamiętać, że to książka z lat osiemdziesiątych, więc Pavel znajduje się niejako w środku nurtu, próbuje się zorientować i najwyraźniej dokonuje w książce pewnego nadużycia – to znaczy mówi o strukturalizmie i poststrukturalizmie na jednym oddechu, ale tak naprawdę strukturalizm niewiele go interesuje...

M.M.: Tak, też zwróciłam uwagę na to, że mimo wszystko to poststrukturalizm pozostaje w centrum jego zainteresowania.

¹ T. Pavel, *Le Mirage linguistique*, Paris 1988.

L.N.: Ponieważ najwyraźniej Pavla niepokoi właśnie poststrukturalizm, dlatego też zaciera różnice między tymi dwoma nurtami, bagatelizując tym samym dość ostrą krytykę strukturalizmu, która została przeprowadzona w pracach Jacques'a Derridy, Rolanda Barthes'a czy Michela Foucaulta. Ale Panią interesuje, czy takie pomieszanie z poplątaniem, jakie proponuje Pavel, do czegoś mu służy?

M.M.: Tak. Zastanawiam się też, na jakiej podstawie autor interesującego nas tekstu rysuje tak wyraźną ciągłą linię między strukturalizmem i poststrukturalizmem, niezbyt często wspominając o występujących na tej linii napięciach...

L.N.: Przede wszystkim działa Pavlowi na nerwy zwrot językoznawczy – to jest ewidentne. I właśnie to zainteresowanie kwestiami języka, które on dostrzega zarówno w pracach strukturalistów, jak i poststrukturalistów (to nie jest dobry termin, ale do tego jeszcze dojdziemy), staje się dla niego podstawą ich pomieszania. Jego tekst jest oczywiście dość ostrą krytyką tej całości, którą wyznacza – moim zdaniem ożywcza, jak każde zamieszanie w bajorku. Jednak kilka kwestii związanych z tą książką budzi mój niepokój. Przede wszystkim, pewne tendencje do pamfletu. W niektórych miejscach widać, że Pavel odmawia zrozumienia, że to jest książka, która nie chce rozumieć. Myślę, że jeżeli przeprowadzamy frontalną polemikę, to dobrze jest jednak wczytać się w teksty i próbować z dobrą wolą zrozumieć ich intencje. Tymczasem duże wątpliwości budzą takie jego pojęcia, jak na przykład „kryzys”, którym on gra na poziomie retorycznym. Cała kultura europejska – od starożytności – budowana jest na kryzysie, wobec tego istnieją oczywiście pewne tendencje do jego retorycznego ujmowania. Pavel nie dostrzegł jednak bardzo ważnej rzeczy, a mianowicie w przeciwieństwie do tradycyjnego ujęcia kryzysu jako tego, który jest kryzysem „ich”, a nie „naszym”, poststrukturaliści podkreślali, że ów kryzys dotyczy także ich, żaden z nich nie przyrzekał wyjścia z tego stanu. Innymi słowy, kiedy Pavel mówi o „zbawczym” (na poziomie retorycznym) charakterze ich filozofii, to nie ma racji, ponieważ żaden z jego antagonistów nie przyrzekał zbawienia.

„Zamiast literatury mieliśmy struktury”

M.M.: Jeżeli dobrze pamiętam, Pavel odnosi ów „model naukowego zbawienia”, o którym Pan wspomina, zarówno do tekstów strukturalistów, jak i poststrukturalistów. Jeśli chodzi o tych pierwszych w roli „naukowego zbawiciela”, widzi tutaj przede wszystkim Ferdinanda de Saussure'a, a za „zbawczą teorię” uważa jego wykłady genewskie, czyli taką koncepcję języka, która miała zapewnić językoznawstwu, a później wiedzy o literaturze czy antropologii

kulturowej status nauki obiektywnej. Czy myśli Pan, że zaproponowany przez Pavla model, który dzieli historię pewnej dziedziny wiedzy na czas „przed” pojawieniem się owej „zbawczej teorii” i czas „po” jej objawieniu, nie ma zastosowania w wypadku teorii strukturalistów?

L.N.: W wypadku tego, co Michał Paweł Markowski i Anna Burzyńska nazywają „pierwszym strukturalizmem”², ma zastosowanie. Trzeba jednak podkreślić, że strukturaliści nie używali języka teologii i chyba w głowie im to nie świtało. Należałoby bardzo precyzyjnie powiedzieć, o co chodzi, ponieważ za pomocą kłajstru – takiego „pojęcia knebla” jak „zbawczy” – daleko nie zajdziemy.

Oczywiście „pierwszy strukturalizm” dał pewne poczucie wyzwolenia. Jakiego? Przede wszystkim pojawiło się przekonanie, że nareszcie w humanistyce możemy wyjść z więzienia wiedzy niepewnej. Strukturalizm przyrzekał pewność. Badaczom zdawało się wówczas, że znaleźli takie zaplecze teoretyczne – czyli językoznawstwo de Saussure’a – które gwarantuje precyzję i jasność wypowiedzi oraz naukowe podejście do kultury. Mieliśmy więc wyznaczone poziomy analizy, porządną i dość precyzyjny język i muszę powiedzieć, że jako młody uczony zachłysnąłem się tym, to było fantastyczne. Poza tym studenci to ogromnie lubili, dlatego że studenci – jak my wszyscy – lubią być po pewnej stronie mocy. Oczywiście musieli się nauczyć dwudziestu czy trzydziestu pojęć, które w polszczyźnie bardzo źle brzmiały, ale uzyskując taki warsztat i, jeżeli to dobrze wyłożono, pewną jasność, czego szukają i w czym tkwią, uzyskiwali rodzaj zadowolenia. Dobrze jednak zapytać, czym to zadowolenie było okupione... Mówiąc grubo, właściwie nie potrzebowaliśmy czytać literatury, ponieważ zamiast literatury mieliśmy struktury. Innymi słowy, spłynęła po nas jak po kacze odpowiedzialność za lekturę, uważne czytanie – studenci zamiast hermeneutyki dostali strukturalizm, który mówił im, co umożliwia znaczenie, ale nie mówił, co to znaczy. Jeszcze inaczej, dostali władzę zamiast rozumienia. I to nagłe poczucie władzy nad literaturą i kulturą było niesamowite. Na dowolnie wybranym obszarze (całkiem dowolny to on nie był, jak się za chwilę okaże) mogliśmy bardzo łatwo pokazać, co umożliwia sensy, ale jakie to są sensy, o tym już nie rozmawialiśmy. Widzi Pani więc, że strukturalizm dawał władzę, ale jednocześnie jakby kazał nam cofać się o krok, co miało dwie wady. Po pierwsze, alienowało lekturę. Domyślam się, że skoro wybrała Pani ten zawód, to Pani czyta książki i Pani to lubi. Proszę sobie zatem wyobrazić, że Pani przychodzi z tym swoim lubieniem, z przeczytaną książką na zajęcia, a to się okazuje zupełnie niepotrzebne. Drugą wadą była alienacja od czytelnika. Kiedy akademia zamknęła się w murach akademii, porozumienie z czytelnikiem stało się niemożliwe.

² Por. A. Burzyńska, M.P. Markowski, *Teorie literatury XX wieku*, Kraków 2009, s. 197–230.

Od struktur do literatury – tęsknota za interpretacją

M.M.: Ale przecież najwybitniejsi polscy strukturaliści bywali świetnymi interpretatorami.

L.N.: Otóż to. To wszystko, co teraz mówię, jest prawdą i nieprawdą, ponieważ już w tej pierwszej fazie strukturalizmu widać tęsknotę za interpretacją. Mianowicie na przykład na gruncie polskim – mam na myśli Janusza Sławińskiego, Kazimierza Bartoszyńskiego, Michała Głowińskiego, Edwarda Balcerzana – znakomitym przykładem refleksji strukturalistycznej jest moim zdaniem książka *Dzieło, język, tradycja* Sławińskiego, ale obok tej książki może Pani znaleźć w pracach tego badacza rewelacyjne interpretacje wierszy Mirona Białoszewskiego, zobaczyć, jak Sławiński czyta poezję, w jaki sposób przechodzi od struktur do lektury. I w tych interpretacjach widać, jak bardzo go to bawi, podnieca, że on to lubi. Innymi świetnymi przykładami są lektury Witolda Gombrowicza Aleksandry Okopień-Sławińskiej, Bartoszyńskiego i oczywiście Głowińskiego. To jasne, że Pavel nie mógł zajmować się Głowińskim, niemniej uderza on w swojej książce na poziomie abstrakcyjnym – nie pisze o tym, co interesujący go filozofowie czytali i w jaki sposób to robili.

Owszem, z jednej strony bywały czyste teorie strukturalizmu – jak choćby Algirdasa J. Greimasa – ale tak zawsze jest w naszej dyscyplinie, że są ludzie, którzy znakomicie sprawdzają się na poziomie dość abstrakcyjnych rozważań metodologicznych i robią to często świetnie, a interpretacją czy lekturą zajmują się mniej lub wcale. Korzyści z działania takich osób są ogromne, ponieważ potrafią one znakomicie sproblematyzować pole badawcze, jasno przedstawić stanowiska, czego owoce widać na przykład w świetnym podręczniku Michała Pawła Markowskiego i Anny Burzyńskiej, pracach Ryszarda Nycza czy Adama Dziadka. Z drugiej strony mamy także mistrzów interpretacji, a takim był Ireneusz Opacki, którego lektury romantyzmu czy poezji Bolesława Leśmiana są rewelacyjne, choć on też wyszedł z inspiracji myślą „pierwszego strukturalizmu”. Mamy więc dwa sposoby patrzenia na literaturę. Pierwszy wychodzi od praktyki lekturowej, która oczywiście nie jest działalnością spontaniczną, ale świadomą lekturą. Drugi sposób reprezentują – niekiedy znakomite – książki czy prace teoretyczne, metodologiczne i tutaj mistrzem dla tamtego pokolenia byłby Henryk Markiewicz. *Nota bene* sam Markiewicz był również świetnym interpretatorem, ale nie spisywał swoich odczytań, ponieważ jego temperament był temperamentem teoretyka. Przypuszczam też, że zrażała go do interpretacji jej niedefinitywność, ale to pojęcie kojarzy się już z poststrukturalizmem.

M.M.: Wspominał Pan, że poststrukturalizm to nieodpowiedni termin. Dlaczego?

L.N.: Jak Pani pamięta, pod koniec lat osiemdziesiątych mamy desant Francuzów na Stany Zjednoczone, stąd właśnie dość myląca periodyzacja, którą stosują także Burzyńska z Markowskim. Już amerykańskie podręczniki są ostrożniejsze, jeśli chodzi o posługiwanie się tym terminem, ponieważ Amerykanie na dobrą sprawę nie mieli strukturalizmu. Dało się oczywiście podrasować *New Criticism*, dało się zobaczyć pewne wspólne tendencje, dlatego też wejście Jacques'a Derridy, Jeana-François Lyotarda czy Foucaulta nie było aż tak trudne, a jednak bardzo trudne... Jakie są moje wątpliwości dotyczące przedrostka „post-”? Po pierwsze, jego prymarne znaczenie dotyczy chronologii, tego co „po”. Jeśli Amerykanie nie mieli strukturalizmu, trudno mówić od razu o poststrukturalizmie. Po drugie, czemu Pavel poświęca niewiele uwagi – jeżeli wypisze sobie Pani słowa klucze tego, co Markowski i Burzyńska nazywają „pierwszym strukturalizmem”, to *de facto* stworzy Pani słowniczek lingwistyczny, a jeśli spróbuje Pani zrobić to samo z poststrukturalizmem, to w słowniku terminologicznym będą dominować pojęcia filozoficzne.

M.M.: Dlatego też tak trudno było mi się zgodzić z Pavlem, kiedy usilnie próbował wykazać, że związek strukturalizmu z językoznawstwem jest tak mocny jak związek poststrukturalizmu z językoznawstwem, co sugeruje wspólną bazę dla obu nurtów.

L.N.: Rozumiem Panią. Można by powiedzieć, że na przykład związek Derridy z de Saussure'em jest relacją wywikływania się. De Saussure jest mu potrzebny po to, żeby pójść dalej, żeby odrzucić zaproponowaną przez niego pozorną binarność. Mówię o pozornej binarności, ponieważ dla strukturalistów to był zawsze prymat *signifié* nad *signifiant*. Sens potrzebował nośnika – kokonu, który poczwarka zrzuci i pozostaje tylko sens. Podobny gest odrzucenia wobec naszych kochanych polskich strukturalistów wykonał Markowski i oczywiście rozumiem, że Pani mistrzowie musieli zacząć od tego, żeby skopać poprzedników – to jest jasne. Dostało się wówczas Głowińskiemu – zresztą, komu się nie dostało – ale najczęściej jest to gest wyzwolenia się od wpływów, podkreślenia, że ja jestem inny. Kiedy się czyta Markowskiego, ma się wrażenie, że ten gest odrzucenia nie prowadzi do niczego dalej, ponieważ dalej należy iść o własnych siłach, a własnych znaczy na przykład derridiańskich, nietzscheańskich. Właściwie Markowski nie potrzebuje tego „pierwszego strukturalizmu”.

Jest jeszcze jedna ważna kwestia, o której Pavel wspomina, ale mało wyciąga z tego wniosków. Jeżeli w wypadku „pierwszego strukturalizmu” możemy mówić o pewnym wspólnym nurcie, który miał swoje specjalizacje, ale pozostawał jednym nurtem, odnajdującym się znakomicie w wielkich całościach, takich jak narracje, rodzaje i gatunki literackie, to w przypadku tego, co nazywamy poststrukturalizmem, mamy do czynienia z panami i z rzadka paniami, którzy

się ze sobą nie zgadzają, i bardzo trudno wyznaczyć płaszczyznę, na której byliby jednogłośni. Można mówić tylko o pewnych przeświadczeniach, jak krytyka metafizyki, która podąża za Martinem Heideggerem, czy krytyka prymatu *signifié* nad *signifiant*. I podobnie ten gest odrzucenia tradycji metafizycznej jest potrzebny poststrukturalistom w pierwszej fazie. Jeżeli na przykład odrzucają głos, zostaje pismo, ale kiedy już mamy to pismo i próbujemy je rozważyć w jego materialności, spacialności, w jego lukach, fałdach i zgrubieniach, to językiem „pierwszego strukturalizmu” tego nie opiszemy, ponieważ jest absolutnie nieadekwatny. Dlatego też poststrukturaliści próbują wypracować własny język, najczęściej optując za czymś. Duża część ich prac ma charakter manifestów, w których perorują na rzecz czegoś, opowiadają, jak będą pracować.

I od razu nasuwa się pytanie, czy nie są to nożyce, co prawda świetne, ale takie, które niczego nie kroją... Czy były więc lektury? Czy były interpretacje? Oczywiście, że powstawały teksty interpretacyjne, tylko bardzo często przyswajało się polszczyźnie – i słusznie – owe manifesty, żeby uchwycić, o co chodzi. Kiedy już jednak przeczytamy sobie te interpretacje, mamy poczucie zachwyty i rozczarowania. Dlaczego rozczarowania? W przeciwieństwie do hermeneutów poststrukturaliści nie godzą się na totalność interpretacji, ich zadaniem nie jest odpowiedzenie na pytanie, co dany utwór znaczy, ponieważ oni powiadają, że utworu, dzieła w ogóle nie ma – jest tylko tekst, który się rozplenia na wszystkie strony. Derrida mówił, że powinniśmy odczytać niemożliwe, to znaczy idiom, który jest nieodczytywalny bez kontekstu, bez konwencji, czyli tego, co rozumiałe. Czystego idiomu nie potrafimy pojąć.

Niepowtarzalność lektury i odpowiedzialność za Innego

M.M.: Tę idiomatyczność chyba najlepiej pokazał Derrida w *Szibbolet dla Paula Celana*.

L.N.: Tak, ale ona jest nieeksplikowalna, wobec tego trzeba czytać i znaleźć moment inskrypcji, odnaleźć sygnaturę. Jaką mamy gwarancję, że to jest właściwa sygnatura? Żadnej, musimy na nią odpowiedzieć kontrsygnaturą: to ja tak czytam, moja lektura jest także idiomatyczna, jest jedyna. Oczywiście stajemy w tym momencie przed wysokimi schodami, ponieważ jak długo jesteśmy na poziomie konwencji literackich, gatunków i chwytów – jak powiedzieliby formaliści – tak długo możemy się porozumiewać. Natomiast kiedy jesteśmy na poziomie idiomu, docieramy do idiomu cudzego i własnego, co oznacza, że odpowiadamy nie tylko na pytanie: co jest w tekście, ale także, co jest we mnie? jakie ja mam linie papilarne? kim ja jestem? Tekst otwiera również mnie, co powoduje fantastyczne rzeczy.

Bardzo wybitną książką poststrukturalistyczną w Polsce jest *Czarny nurt* Markowskiego, w której czyta on Gombrowicza. Kiedy Pani popatrzy na jego

narzędziownię, to zobaczy Pani, że to jest właśnie narzędziownia utworzona *ad hoc* do uchwycenia idiomu. Przez typowo poststrukturalistyczne, filozoficzne lektury Markowski próbuje uchwycić, nie jaki jest Gombrowicz jako taki, ponieważ to nie jego zmartwienie, ale jak on – Markowski – czyta Gombrowicza. I znowu, jeśli sobie Pani zrobi indeks pojęciowy, to zobaczy Pani, że to są nowe pojęcia, stworzone na użytek tej konkretnej książki, co oznacza, że *de facto* nie można ich powtórzyć.

M.M.: Czy w takim razie poststrukturalizm nie spotykałby się tu jednak z hermeneutyką? Jeśli metoda hermeneutyczna polegałaby na „wsluchiowaniu się” w tekst i wypracowywaniu metodologii dla konkretnego utworu, to chyba widoczne jest jakieś podobieństwo?

L.N.: I tak, i nie. Jeśli mówimy o hermeneutyce Hansa-Georga Gadamera, to myślę, że u tego filozofa bardzo wyraźna jest jednak tendencja uniwersalizująca, podczas gdy w tym wypadku u Markowskiego mamy do czynienia z tendencją indywidualizującą, sprawą jest niepowtarzalność. Istnieje oczywiście ryzyko, że czytelnik może powiedzieć, że to nie jest jego Gombrowicz i jego to nie obchodzi, ale tak jest z każdą naszą książką, a dla mnie *Czarny nurt* był nadzwyczaj inspirujący. Zostańmy jednak jeszcze przez chwilę przy Derridzie. Wspominała Pani o książce *Szibbolet dla Paula Celana*. Nie wiem, czy Pani uczy na uniwersytecie?

M.M.: Nie, jeszcze nie.

L.N.: Ale kiedy już będzie Pani uczyć, to nie ma sensu kazać studentom przyswoić sobie, co to jest szibbolet i w jaki sposób stosować to pojęcie do literatury. Szibbolet jest tylko dla Celana i Derridy. Dlaczego? Przede wszystkim jest to cudowny przykład, który z nieba mu spadł. Chodzi oczywiście o słowo hebrajskie, którego nikt poza *native speakerami* nie potrafił wypowiedzieć poprawnie. Wróg, szpieg albo kapuś wypowiadał to słowo, ale wszyscy wiedzieli, że to nie to. Było to zatem znamię, znak przynależności ekskluzywnej. O kim w tej książce mówi Derrida? Mówi o Celanie, ale mówi także o sobie, próbując znaleźć miejsce kontrasygnaty. Sam byłem na jego wykładzie w Sztokholmie i czułem się okropnie rozczarowany. Pomyślałem sobie wtedy, że przyjechał mistrz i wreszcie będę wiedział, jak wejść w Celana, a on mi odpowiedział, jak wejść w siebie przez Celana. To fantastyczna książka.

Jeżeli więc zacząłem od tego, że wprowadzaliśmy siebie i studentów w błogostan panowania nad wszystkim, to poststrukturaliści detronizują zupełnie i nas, i siebie. Nie jest bowiem tak, że oni biją pałką po głowie, ale podkreślają, że oni także znajdują się w kryzysie i nie wyjdą z niego inaczej niż baron Münchhausen. Jest taka przygoda barona Münchhausena – to zresztą nie jest ich przykład – opowiadająca o tym, jak jechał konno i wraz ze swoim koniem

wpadli w bagno wsysające. Jak Pani wie, śmierć nieuchronna, ale baron wpadł na pomysł, żeby chwycić się za harcap i wyciągnąć razem z koniem z bagna. Harcap to wiązany z tyłu warkocz przy jego własnej peruce. Widzi Pani więc, że to niemożliwość, ale poststrukturaliści cały czas krążą wokół harcapu, wiedząc, że inaczej nie wyjdą z kryzysu, dochodzą do momentu niemożliwości i nierozstrzygalności, jak na przykład Paul de Man czy Foucault.

M.M.: A co było później? Przecież poststrukturalizm stanowi wyraźną inspirację dla tak zwanego postpoststrukturalizmu.

L.N.: Tak, otworzyło się wtedy wiele furtek. Przede wszystkim, do gabinetu figur woskowych wprowadzono krwiobieg, nagle te postaci zaczęły nie tylko różowieć na buzi, poruszać się, ale zaczęły się pocić, wydalać – zaczęły mieć ciało. Dzięki refleksji nad pismem, nad materialnością otworzyła się szerzej furтка z feminizmem, z etnicyzmem, badaniami kulturowymi, queer, gender, a także ze studiami postkolonialnymi, choć te ostatnie pewnie i tak by wystąpiły, natomiast uważam, że bez inspiracji poststrukturalistycznej byłyby inne albo być może bardziej ideologiczne. W poststrukturalizmie aż kipi od pomysłów, a tego nie docenia Pavel.

M.M.: Nie docenia zwłaszcza, kiedy stosuje również do poststrukturalistów ów „model naukowego zbawienia”. Pavel dostrzega w ich pracach coś, co nazywa „narracyjnym efektem pojęcia końca”. Chodzi mu o taki sposób prowadzenia narracji o danym nurcie intelektualnym, który jednocześnie zamyka opowieść, stawiając opowiadającego w pozycji sędziego, w pozycji władzy. A przecież dynamiczny rozwój postpoststrukturalizmu, czyli to wszystko, o czym Pan wspominał, jest poszerzeniem obszaru badań i położeniem akcentu na pluralizm interpretacji.

L.N.: Zarówno u filozofów, którymi on się interesuje, jak i u samego Pavla kategoria końca to kategoria retoryczna. Próbowałbym wyjaśnić jej sens zdaniem: „już dalej tak się nie da z takich a takich powodów, jeżeli uznasz, że to powody niewystarczające, pisz dalej”. Nie chodzi więc o likwidacje, masowe egzekucje. To widać zwłaszcza u Derridy, który jest raczej łagodny – inni byli bardziej rewolucyjni. Trzeba też pamiętać, że te końce pojawiają się na ogół w ferworze polemicznym, ale po każdej rewolucji jest także okres restauracji. W humanistyce i w tym, co ludzkie, właściwie nie ma końca.

M.M.: Być może było też dla Pavla jeszcze za wcześnie, to jest rok 1988, i jeśli przyjmiemy za Burzyńską, że faza krytyczna ponowoczesności kończy się około roku 1980, to Pavel rzeczywiście znajdował się w samym środku nurtu.

L.N.: Tak, jeszcze przecież nie ma późnych pism Derridy. Poza tym proszę pamiętać, że końcówka lat osiemdziesiątych to czas, kiedy poststrukturaliści zaczęli dominować w humanistyce europejskiej i amerykańskiej, zatem inne szkoły i inne sposoby myślenia mogły czuć się zagrożone. Nigdy nie spotkałem Foucaulta, ale Irena Gross była na jego wykładzie w Stanach Zjednoczonych i opowiadała, że przyszedł wtedy z gwardią przyboczną – ubraną nieco wyzywająco – i zjawili się tam dzikie tłumy studentów, ponieważ oni byli popularni. Ja z kolei byłem na spotkaniu z Derridą w Sztokholmie w roku 2000, na które przyszło trzysta, może czterysta osób. zaproponował, żebyśmy rozmawiali po angielsku, ponieważ gdyby wszyscy posługiwali się na tym spotkaniu francuskim, miałby dominację i to byłoby według niego nie w porządku. Powiedział też, że nie będzie mówił, ale poprosił, żeby ludzie zadawali pytania, i nagle przez dwie czy trzy godziny studenci pytali go, znając na pamięć jego teksty. Derrida czuł się wtedy uskrzydłony, czuł się fantastycznie. Natomiast Hayden White okropnie wykladał, widać było, że jego bawi pisanie i jeśli już coś napisał, nie miał ochoty tego powtarzać. Pamiętam taki jego wykład w Sztokholmie – bardzo rozczarowujący, ale później poszliśmy na lunch wraz z jego żoną romanistką i dopiero tam się ożywił. To cudowni, uroczy i błyskotliwi ludzie. Byli też tacy, których wykłady bawiły i ich prowadzenie sprawiało im przyjemność, i do takich wykładowców należał Richard Rorty.

Awantura o fakty... i inne kości niezgody

M.M.: Tytuł naszego kwartalnika zobowiązuje, powróćmy więc do pytania o szersze konteksty badań nad literaturą. Do jakich odwoływał się strukturalizm, do jakich z kolei poststrukturalizm?

L.N.: Dla „pierwszych strukturalistów” kontekstem dzieła literackiego były inne dzieła literackie, prądy literackie, gatunki, czyli także pewne całości. Trzeba pamiętać, że strukturalizm był polemiczny w stosunku do marksizmu czy też pewnego rodzaju pozytywizmu, zatem badania genetyczne nie wchodziły w grę. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie rezygnował z podania daty urodzenia Bolesława Prusa tylko dlatego, że był strukturalistą, niemniej konteksty literatury były związane raczej z samą literaturą czy kulturą rozumianymi również jako całości. I proszę sobie teraz wyobrazić, że nagle przychodzi Foucault i zaczyna grzebać w dokumentach dotyczących domów wariatów, otwierając pewną epistemę, która mówi, co odrzucił rozum i jak skrajnie represywnym systemem była – budowana na racjonalizmie – tradycja zachodnia. To jest bicz na humanistów, ponieważ archiwa, z których czerpał Foucault, zawierają nieskończoną liczbę materiałów.

I tutaj pojawia się pierwsza kość niezgody: czy są fakty? Kiedy jeszcze uczyłem, prosiłem dowolnego studenta, żeby opisał pokój, w którym się znajduje. Oczywiście było to złośliwe i szybko przerywałem, ponieważ to była *mission*

impossible. Zawsze od czegoś trzeba zacząć, a jak Pani uzasadni początek? Dlaczego wybrała Pani to, a nie coś innego? Kiedy składamy fakty w opowieść, kiedy opisujemy zdarzenie, nie uwzględniamy innych możliwości konfiguracji tych faktów. A jedną z tez Haydena White'a było przekonanie, że nie ma faktów, są jedynie zdarzenia, które z faktów budujemy. Tą teorią wywołał ogromną polemikę i widziałem, że był nią bardzo poruszony. Pojawiło się bowiem pytanie, co zrobić z Holocaustem. Polemiści nie mieli żadnych wątpliwości, że White nie był antysemitą, ale to nie rozwiązywało problemu. Na pytanie, co zrobić z historią, której zdarzeniowość jest niemożliwa do stworzenia – czyli „stali w kolejce, rozebrali się, zagazowano i spalono ich” – odpowiedziałbym na własny użytek, że w przypadku takich historii, w których poza tą faktycznością i statystyką nie pozostaje nic, wyjściem jest addytywność, dodawanie faktu do faktu, enumeracja, jako zasadniczy tryb narracji.

Tych kości niezgody było oczywiście więcej. Stały się nią kategoria prawdy, kategoria autora, czyli wszelkie miejsca podczas czytania, podczas lektury świata, dzieła literackiego, w których usiłujemy uzyskać dominację. I w tym sensie można powiedzieć, że jest inaczej, niż mówi Pavel. Być może poststrukturaliści dopatrują się kryzysu właśnie w tym, że dominacja jest już dalej niemożliwa, ponieważ wiemy, jaką cenę będziemy za nią płacić. Zwłaszcza dzisiaj widać gołym okiem, że kategorię prawdy, na której nam oczywiście bardzo zależy, jest bardzo łatwo zaakceptować, ale łądujemy w pułapce Arystotelesa. Filozof daje nam bowiem bardzo łatwe wyjście, ale jednocześnie ładuje nas w pułapkę. Zaproponowana przez niego klasyczna definicja prawdy, opierająca się na zgodności sądów z rzeczywistością, zakłada, że jeżeli mówimy „A”, i to rzeczywiście jest „A”, to jest to zdanie prawdziwe. Warunkiem jest jednak obecność drugiej osoby. Pani jest obecna, ja jestem obecny i mówię, że dzisiaj świeci słońce. Sam nie mogę tego stwierdzić, Pani musi to poświadczyć, ale jeżeli to zapiszemy i nie ma świadka, to co się dzieje? Wtedy jesteśmy na poziomie języka, a według Arystotelesa na poziomie języka prawdy zdefiniować się nie da, ponieważ do tego potrzebne jest zderzenie języka i świata, „słowa i rzeczy”, mówiąc Foucaultem.

Istnieją oczywiście różne rozwiązania tego problemu i poststrukturaliści sięgali po niearystotelesowskie sposoby ujmowania prawdy. Pragmatyści powiadali na przykład, że prawdą jest to, co przekonuje, czyli mamy interpretacje fortunate i unfortunate. Ktoś może oczywiście powiedzieć, że to, co dla jednego jest fortunate, dla drugiego nie jest, ale przecież przed chwilą pożegnaliśmy się z wiecznymi strukturami z czystej pneумы, które są ponadczasowe, uniwersalne i uchylają się od definicji prawdy, ponieważ nie należą do świata rzeczy ani do świata słów. Skoro jesteśmy w świecie idiomów, mamy sygnatury – trudne do znalezienia. Moim zdaniem już u Derridy może Pani obserwować zwrot etyczny, wzięcie na siebie odpowiedzialności za lekturę. Jeśli mam przed sobą tekst, mam tego Innego – a to jest bardzo ważna kategoria, przejęta od Emmanuel Lévinasa – to nie mogę potraktować go nonszalancko, nie mogę zrobić

z nim czegokolwiek. Lektura jest przede wszystkim ogromnym gestem duchowego wysiłku i odpowiedzialności. Nie wystarczy, że dam słowo honoru, ale muszę postawić pod tekstem odcisk mojego palca. Czy to jest czasowe? Tak. Czyli można powiedzieć, że w dyskusji na temat czasowego i ponadczasowego poststrukturaliści są czasowi. Pokazują, że nie da się już czytać tak, jak czytano do tej pory. Ich sytuacja jest sytuacją kryzysową, ale to nie jest tyrania. Poza tym trzeba czytać te książki, które nas inspirują, które otwierają nam oczy, po których szczęka nam opada i mówimy: „wow, to tak, no fantastycznie!”.

Oczywiście jako historycy nauki czy humanistyki musimy używać tych periodyzacji, natomiast ja tak naprawdę dzielę teksty na inspirujące i nieinspirujące. Dla mnie nadzwyczaj inspirującym pisarzem – błyskotliwym i bardzo inteligentnym, uroklivym i sugestywnym – był Roland Barthes, który należał do autorów bardzo wpływowych, a także – jeśli już chcemy być historykami literatury – bardzo zawodnych. Kiedy wydaje się nam, że możemy zaklasyfikować go jako marksistę, okazuje się, że jutro on nie jest już marksistą, ale strukturalistą, a kiedy uważamy go jako strukturalistę, to okazuje się jednym z likwidatorów tego nurtu – jak mydło toaletowe, wyslizguje się. Jak Pani widzi, umykam od zagadnienia: słusznie czy niesłusznie, ma rację czy nie ma racji, raczej pytam, czy mnie to inspiruje, grzeje, kręci, czy daje mi to coś, czy nie.